Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

TYGODNIK ILUSTROWANY

FAMULUS

30 GR.

Zwiastuny słońca i wiosny



Fot. Saryusz-Wolski.

Gdy się dziecko śmieje, niebo się uśmiecha...

20 — 27 marzec 1927 r. WARSZAWA—KRAKÓW—LWÓW—POZNAŃ—WILNO—GDAŃSK Rok I, Nr 6

Z MOJEJ KARJERY...

VI

Stanisław Przybyszewski



St. Przybyszewski

Znakomity autor „Mściciela" granego z takim świetnym sukcesem na scenie Teatru Narodowego, opowiada na łamach „Famulusa" o swojej karjerze literackiej.

— Ja wpadłem w literaturę, jak Piłat w Credo. Wszystko mi się śniło, we wszystko wierzyłem, tylko nie w to, że zostanę literatem.

Zostałem nim tylko dzięki p. St. Grabskiemu. byłemu ministrowi oświecenia.

Kończyłem w roku 1892 6-ty semestr uniwersytetu w Berlinie. Studjowałem medycynę, po której ukończeniu chciałem zostać psychjatrą. W tym czasie zapoznałem się z p. Stanisławem Grabskim, wielkim działaczem politycznym polskim na gruncie Niemiec.

Redagował on wówczas „Gazetę Robotniczą", a ponieważ pismo to nie szło, rzecz prosta, na rękę ówczesnym władzom niemieckim, te postarały się o to, by go wysiedlić z granic państwa. Łatwo to Niemcom przyszło, gdyż Grabski był poddanym rosyjskim i wkrótce też odstawiono go do granicy w asyście paru szpiclów.

Mnie, jako pruskiego poddanego, nie można było wysiedlić, to też Grabski przed opuszczeniem Berlina powierzył mi redagowanie „Gazety Robotniczej".

Długo poza Niemcami Grabski nie przebywał i przy pierwszej okazji wyborów na Śląsku przybył znów z powrotem do Berlina, tropiony przez policję niemiecką, by następnie, udawszy się na Górny Śląsk, wziąć tam udział w wyborach. Ja, który również, jak i Grabski, nie byłem politycznie czysty w stosunku do władz niemieckich, zaopiekowałem się St. Grabskim i postarałem się o wynajęcie jemu mieszkania. Konspiracja ta jednak nie powiodła się i zaraz następnego, zdaje mi się dnia, zaaresztowano Grabskiego i mnie również. Grabskiego odwieziono do granicy, mnie zaś po przetrzymaniu kilku dni w Moabicie wypuszczono na wolność. Zawezwał mnie wtedy ówczesny rektor uniwersytetu berlińskiego, wielki Rudolf Virchow, a gdy stawiłem się u niego, powiedział mi: „Wenn Sie von der Uniwersität nicht weggehen, so werden Sie gegangen" (jeśli pan nie wyniesie się z uniwersytetu, to my pana „wyniesiemy") — uniwersytet opuściłem, no i tak zostałem rzucony na pastwę losu.

Wydalony z uniwersytetu berlińskiego, nie mogłem już zostać przyjęty do innego. Zacząłem wówczas zajmować się literaturą, a przedewszystkiem pracami Nietschego. Najbardziej podobała mi się jego rzecz „Also sprach Zarathustra".

Ówczesny mój znajomy dr. Asch, rozmawiając kiedyś ze mną, dowiedział się, że mam napisany w języku niemieckim rękopis, p. t. „Chopin und Nietsche" i zażądał, bym mu go przyniósł do przejrzenia. Manuskrypt, który tej nocy dopiero uporządkowałem, oddałem dr. Aschowi.

Po paru dniach, gdy go odwiedziłem, — tu p. Przybyszewski pokazał mi swoją książkę „Moi współcześni", — wywiązała się między nami następująca rozmowa, niech pan słucha:

— Oj, wesołą nowinę mogę panu zwiastować.

— Co takiego?

— Bardzo poważny nakładca — Fontane et Co — będzie drukował pańską broszurę.

Nie wiem, czym kiedy był tak zakłopotany, onieśmielony, zafrasowany...

To było trudne do zrozumienia, gdyby nie to, że ja do dziś dnia u- czuwam jakiś dziwny, głęboki wstyd, gdy widzę wydrukowane moje nazwisko, a przecież dawno powinienem był się z tem otrzaskać.

— Ale mniejsza o to, — ciągnął dalej Asch, — opowiada mi Przybyszewski.—Skrypt pański zaniosłem znajomemu mi krytykowi, teraz już w Berlinie bardzo poważanemu — zna pan jego nazwisko? Franciszek Servaes — on zaledwie zdążył przeczytać, pobiegł do znajomego nakładcy Fontane. Fontane w tej chwili wziął, a ja wydusiłem od niego nawet sto marek honorarjum.

Byłem przygnębiony tą „radosną" nowiną.

Ale już teraz nie mogłem odwrócić biegu mego przeznaczenia: dostałem się w literaturę, a Bóg mi świadkiem, żem tego nie chciał — minąłem się z mojem powołaniem przecież ja miałem być muzykiem jak tego sobie tak gorąco moja życzyła matka, a już, jeżeli nie muzykiem — to księdzem! A i księdzem byłbym został, gdybym był zastał na ziemi gotyk! No! psychjatrą już teraz zostać nie mogłem.

Moje prymicje na „kapłana literatury" były jedną udręką. Omijałem ulice z księgarniami, w których mogłoby być moje dzieło wystawione na pokaz publiczny, lękałem się wziąć gazetę do ręki. by się tam nie spotkać z mojem nazwiskiem.

Parę dni temu wziąłem do ręki gazetę z recenzją Grzymały-Siedleckiego o mojej ostatniej sztuce — „Mścicielu".

Pisze on, że stworzyłem tam typ kobiety „wampirzycy".

Iza, która występuje w „Mścicielu", nic nie ma wspólnego z wampirzycą, jest spokojną dziewczyną — biedactwo. A, żeby porównywać moją Izę z „La Garconne" Margueritte'a, to trzeba...

Ja typu „wampirzycy" nie stworzyłem. Ja stworzyłem typ kobiety Polki, najszlachetniejszy, najbardziej idealny i zupełnie nie zgadzam się z tem co napisał o tem Siedlecki — temi słowy zakończył rozmowę o swej karjerze literackiej autor „De Profundis".

M. G.

Kartki z raptularza

NIE KWĘKAĆ A DZIAŁAĆ! Czy nie obija się wam o uszy w każdej rozmowie o charakterze poważniejszym, jęk żałosny na temat upadku obyczajów, obniżenia poziomu moralnego, wykoszlawienia dusz ludzkich i t. d., i t. d.?...

Napewno tak!

Jak mucha dokuczliwa, bzykająca nad nosem, skargi te i biadania drażnią, bo powtarzane są przy każdej okazji, a jednocześnie rzadko który z kwękających najgłośniej i najżałośniej, choćby tylko palcem kiwnie, by działo się inaczej.

Najłatwiejsza to bowiem rzecz postękać, pojęczeć, rozłzawić się, i na tem koniec. Sumienie się ma czyste, bo się utyskuje nad złem, i serce jasne, boć przecież pragnie się, aby było lepiej. Każdy rację przyzna, a ten i ów jeszcze doda:

— Jaki to zacny i porządny człowiek..

O nie! Tak nie jest... Ani serca, ani sumienia nie ma w porządku, ani najmniejszej racji nie ma ten, kto ogranicza się do potoku słów i skarg, a najdrobniejszym choćby czynem nie przyczynia się do walki ze złem i do budowania pancerza ochronnego dla duszy ludzkiej, by nie skarlała i nie zeszpetniała w czadzie oparów powojennych.

Wiadomo, jaki wyłom w moralności społecznej czyni zła książka, zła prasa, zła literatura, spekulująca na najniższych instynktach lub sieczkę i plewy gorzkie niosąca ogółowi czytającemu miast zdrowego ziarna.

A jednak ona właśnie cieszy się największą poczytnością, bo...

Czy wiecie dlaczego?

Bo każdy prawie, co biada nad szkodnictwem i złem, palcem o palec nie ruszy, by popierać rzeczy dobre, by je rozpowszechniać, by im współdziałać i by w ten sposób stać się współbudowniczym każdej szlachetnej i ku dobru ludzkiemu skierowanej akcji.

A jednak, gdyby każdy zdobył się choćby na odrobinę dobrej woli nie w słowach, a w czynie, ileżby można zdziałać, jak łatwo i jak szybko?...

ZARAZA KONKURSÓW FILMOWYCH. Ekran, który zawojował świat i stworzył w takiej, naprzykład, Ameryce, wielki przemysł filmowy, przynoszący olbrzymie korzyści temu krajowi, nie daje spać spokojnie i wielu z nas.

Laury amerykańskie marzą się niejednemu w Polsce i słusznie, bo do śmiałych i przedsiębiorczych należy świat ale, niestety, po laury te sięgają niejednokrotnie różni łotrzykowie, szantażyści i deprawatorzy moralni, korzystając z tej popularności, jaką cieszą się różne konkursy filmowe.

Wartoby, aby zarówno władze, jak i społeczeństwo nasze, większą zwracały uwagę na rozmaite zapowiedzi i ogłoszenia w tej dziedzinie, bo o ile nas wieści dochodzą, niektóre poszukiwania amatorów i amatorek do rzekomo mających naświetlać się filmów tchnęły trochę handlem żywym towarem, a różne inne publikacje były zwyczajnym szantażem i wyłudzaniem pieniędzy przez dowcipnych i zawsze pomysłowych niebieskich ptaków.

Naiwnych nie brak! Zwłaszcza, jeżeli chodzi o ekran i laury ekranowej sławy, o której marzy każda pensjonarka i każdy sztubak.

A więc ostrożnie!...

OFERTA POD: „3500“. Znowu czytać nie przestajemy:

— Zaraz odstąpię 2 pokoje z kuchnią, 1 piętro, telefon, elektryczność. Oferty pod: „3500“...

Co to znaczy?

Znowu, jak krety z nory, wyłażą różne hieny mieszkaniowe, żądające tylko 3500 złotych za gołe ściany dwóch pokojów z kuchnią, nie własnych do tego, a odnajmowanych od właściciela domu za sumę, nie przekraczającą 100 złotych miesięcznie.

Rozbój na równej drodze! Kryminał!

A jednak nie ustaje...

Czyż nie można znaleźć litery prawa, któraby nie pozwalała przynajmniej na bezczelność publicznego ogłaszania podobnych nadużyć?

Jak długo tych, co nie mają dachu nad głową, lub gnieżdżą się po różnych kątach, będą próbowali wyzyskiwać ci, co gotowi są użyć niedoli ludzkiej za ofertę pod: „3.500“?

Od ogłoszeń i propozycyj tego rodzaju nie przestaje się pstrzyć w poczytnych pismach codziennych...

PRZED DAREM NARODOWYM 3-GO MAJA. Jak lat ubiegłych, tak i w tym roku Dar Narodowy 3-go Maja będzie zużyty na cele oświatowo-kulturalne w Polsce.

Piękny cel, jeden z najpiękniejszych i najszlachetniejszych, jakie przyświecać nam powinny stale dotąd, dopóki nie odrobimy lat ciemnoty i zaniedbania z okresu niewoli.

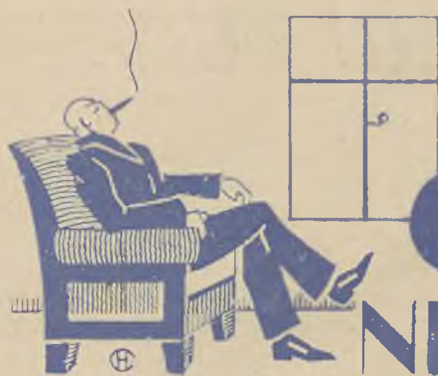


Ileż to jeszcze promieni światła puścić należy do głów ludzkich w Polsce, by rozproszyć panujące w nich mroki? Iluż obywatelom wolnej Rzeczypospolitej wyjaśnić należy ich prawa i obowiązki, uświadomić o Polsce i państwie, o elementarnych cnotach obywatelskich, wskazać, kim są, by nie szli na lep szumnych frazesów i haseł, wrogich ojczyźnie?

Piękny cel, do którego winien się przyczynić każdy, kto nie chce, by rumienił się przed samym sobą ze wstydu...

Famulus.

TADEUSZ PUDŁOWSKI *)



CZŁOWIEK NIE BYLE JAKI



Był wśród nas, kto wie może jest i obecnie pewien człowiek.

Nie byle jaki człowiek.

Jeden z tych, o których mówi się zwykle...

Właściwie, o których się nie mówi, lecz — zależnie od okoliczności —wyszeptuje, wychrząkuje lub wygwizduje:

— Ho! ho! mosterdzieju! Fiu! fiu! łaskawco! He! he! panie szanowny! Hm! hm! proszę ja pana!

Słowem był to człowiek w najistotniejszem tego słowa znaczeniu, człowiek monolit, o wielkiej wartości zewnętrznej — chrząkano, szeptano i gwizdano o tem — człowiek od stóp aż do facjatek czteropiętrowej kamienicy w śródmieściu, którą był otrzymał w spadku po kanoniku. Ogólnie zaś rzeczą jest wiadomą, że kanonik, zapisujący kamienicę ni stąd ni zowąd, nazywa się zwykle stryjem spadkobiercy.

Czem był ten człowiek do chwili objęcia w posiadanie zapisanej mu kamienicy — o tem nic nie wspominali nigdy ludzie jego sfery, ani on sam o tem nigdy nie napomknął.

Czem stał się po załatwieniu formalności spadkowych o tem wszyscy wiedzieli.

Stał się bowiem człowiekiem myślącym.

Tak jest — człowiek ów myślał.

Codziennie siadywał po obiedzie, ba! nawet przed obiadem w swoim gabinecie, zapalał cygaro...

A wtedy żona tego człowieka strofowała legalnie poczęte dzieci, gdy które z nich śmiało się lub płakało.

— Bądźcie grzeczne, chodźcie na paluszkach, rozmawiajcie pocichu, bo tatuś myśli...

A jeśli w on czas zjawił się na podwórzu handlarz starzyzną, kościarka, druciarczyk, bednarz, szklarz albo jakaś inna postać, zbyt głośno zarabiająca na chleb powszedni — wtedy stróż, ujrzawszy groźną twarz żony tego człowieka, wychylającego się przez lufcik, wyrzucał za bramę natręta!

— Won stąd! Pan gospodarz myśli...

A jeśli zadzwonił w on czas u drzwi frontowych któryś z licznych przyjaciół i czcicieli tego człowieka, to wówczas lokaj wprowadzał gościa do salonu, gdzie pani już oczekiwała, aby uprzedzić, że: —

— Mąż za chwileczkę będzie mógł służyć, obecnie bowiem, jak to panu wiadomo...

— Myśli — kończył przyjaciel lub czciciel.

— Tak jest... myśli! — z namaszczeniem pochylała głowę żona.

A jeśli w on czas przybywał ktoś z interesantów, to lokaj przez drzwi uchylone na schody oznajmiał:

— Jaśnie pan nie przyjmuje... jest zajęty... myśli.

I człowiek ów palił cygaro i — wszyscy o tem wiedzieli — myślał.

Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby ten człowiek wyłącznie tylko myślał.

O nie!

W chwilach wolnych od myślenia — człowiek ten i mówił — mówił bardzo dużo... długo mógł mówić...

Czy to w resursie przy wincie, czy to w domu podczas kolacji, czy to w knajpce i w cukierni, czy to zasiadłszy na fotelu prezydjalnym — godność powiem prezesa w nym — godność bowiem prezesa w stował — wszędzie i zawsze mówił.

Pięknie mówił.

Wprawdzie ludzie niechętni temu człowiekowi, ludzie, nie posiadający kamienic, a jako tacy wiecznie i ze wszystkiego niezadowoleni, wyrażali się lekceważąco o tem, co on mówił:

— Ależ ten człowiek tylko powtarza to, co inni przed nim już dawno byli powiedzieli!

Zarzut nie wytrzymujący krytyki!

Po pierwsze mowa nasza składa się ze zdań i okresów po miljard razy już powtarzanych, myśli zużytych, po drugie zaś powtarzanie może być posunięte do wyżyn artyzmu, stać się twórczem!

Naprzykład.

Człowiek ów, będąc prezesem pewnej poważnej, dziesiątki już lat istniejącej, tak zwanej placówki społecznej, zwykł mawiać:

— Bez tradycji niema cywilizacji! Czcijmy i zachowujmy tradycję!

Na inauguracyjnem zaś posiedzeniu instytucji, która powstała dzięki nowym prądom, nowym hasłom, krzyknął z zapałem:

— Burzmy tradycję! bez burzenia bowiem tradycji niema postępu!

Przepięknie to powiedział!

Jednogłośnie obwołano go prezesem!

A czyż on był twórcą tych dwóch twierdzeń?

Bynajmniej.

Wiedział jednak co, gdzie i jak powtórzyć można.

---

*) Zbiór nowel i humoresek utalentowanego autora p. t. „Zapiski prosięcia“ ukaże się w „Godzinie Czytania“ — patrz ogłoszenie na ostatniej stronie.

Takim był ów człowiek.

Pewnego razu wyjechał on był na wypoczynek letni.

Przybył do uroczego zakątka wiejskiego, w dni zaś kilka po jego przybyciu cała okolica wiedziała, iż w willi pod lasem zamieszkał człowiek, który myśli.

Więc wokół cisza zaległa.

Oto mieszka człowiek, który myśli i stać go na to, aby myślał — a to rzadko bywa.

Kiedyś o ślicznym poranku, gdy słońce piło chciwie kryształowe rosy, perlące się na rzęsach stokrotek i snopem iskier migotało wśród traw na łące — wyszedł ów człowiek na przechadzkę, aby — jak się wyraził do żony — przeżyć godzinę myśli.

Szedł ścieżką, wijącą się poprzez żyta chleborodne, a oczy rodziny mogły podziwiać z okien willi jego postać szlachetną, jego chód miarowy i głowę, uginającą się pod ciężarem myśli.

Wreszcie zniknął w lesie.

A za chwilę w gąszczu leśnym zatrzepotała echem popularna piosenka:

— „Smutno raz było Jadwidze: Poszła do lasu po rydze...“

Ów człowiek to śpiewał.

Kultura wstąpiła w leśne ustronie.

Człowiek przeżywał godzinę myśli.

Szedł wesoło, zakreślając laską misternie kółka, depcąc blade paprocie, rozgniatając brunatne prawaki, wychylające swe zakwefione czuby z pod zeschłego igliwia.

Nagle...

Piosenka zamilkła.

Głowa pochyliła się ciężko pod brzemieniem myśli.

Chód stał się powolnym, poważnym.

Na polanie leśnej człowiek myślący ujrzał zgarbioną postać pastucha świń.

Stał się więc znów takim, jakim podziwiała go żona, legalnie poczęte dzieci, lokaj, stróż, koledzy, czciciele, goście, przyjaciele i placówki społeczne.

Zpod rzęs obserwował pastucha, pragnąc ujrzeć na jego twarzy zachwyt.

Pastuch uśmiechał się głupkowato.

— Bydlę! Nie poznał się na myśli... Może chamska dusza będzie wrażliwszą na mowę!

— Jak się macie? — zagadnął.

— Na wieki wieków. Dobrze, chwalić Boga!

— Tutejszy?

— A niby.

— Skąd?

— Ze wsi.

— Pasiecie?

— Świniaki.

— Djabelnie nudna rzecz, tak cały dzień samemu...

— A dyć są świniaki.

— Przecież nie do rozmowy?

— Czemu nie?

— Gadacie z nimi?

— Juścić.

— I rozumieją?

— Toć bat mam niezgorszy.

— Hm! Więc dlatego? — człowiek myślący roześmiał się szczerze.

— Bez bata zatem nie moglibyście się porozumieć?

— To się wie! Taki porządek na świecie.

— No... niezawsze...

— Zawsze, wielmożny panie. Tak, bat albo poczęstunek. Na ten przykład, gdy zejdzie się chłop z chłopem, wójt z wójtem, dziedzic z dziedzicem, albo proboszcz z proboszczem, to nigdy — jak Bóg przykazał, godziwie nie pogawędzą, ale się swarzą! Jeden mówi tak, drugi powiada nie. I chociażby politycznie gadali, bez bijatyki, zawsze każdy z nich powiada, że to on jeno mądrze mówi... Ale kiedy dziedzic zacznie gadać z chłopem, proboszcz z zakrystjanem, wójt choćby z włókowym gospodarzem — tedy insza rzecz! Dziedzic ma rację, bo może sprać, proboszcz duchowna osoba, — wykląć, wójt — zamknąć...

— A czemuż to mnie, choć nie mogę ani sprać, jak powiadacie, ani wykląć, ani zamknąć, jednak ludzie słuchają i przyznają słuszność.

— Ha! Nie znam wielmożnego pana! Ale może to — bez urazy rzeknąwszy — poczęstunek.

— Nie...

— To dziw...

— Lecz dlatego, iż wiedzą o tem dobrze, że umiem myśleć.

— Wielmożny pan myśli?

— Dziwi to was?

— A...bez urazy... o czem?

— Nie zrozumiecie, choćbym nawet powiedział.

— Ci zaś rozumieją?

— Kto?

— Co wielmożnego pana słuchają?

— Naturalnie.

— A wielmożny pan pytał?

— Wiem bez zapytywania.

Bo to różnie bywa. Czasami proboszcz przy niedzieli mówi... mówi i mówi, a gdy powie — „amen“ — ludziska odpowiedzą — „Panie Boże zapłać!“ — choć nikt — szyję tnij — nawet ten, co pod samą amboną stoi, dobrze nie wie, o czem dobrodziej kazał. Różnie bywa.

— Ja też do chamstwa nie gadam.

— Aha jeno do edukowanych.

— Tak.

— To wielmożny pan cosik jak nauczyciel?

— Co się też wam przyśniło! Dzięki Bogu nie potrzebuję zarabiać na chleb powszedni! Jestem właścicielem czteropiętrowej kamienicy.

— Oho! I do kogoż to wielmożny pan gada?

— Na zgromadzeniach, gdy jako prezes...

— Prezes? To urząd jakiś, choć wielmożny pan odziany zwyczajnie, po bożemu.

— Prezesem nazywa się człowiek, stojący na czele jakiejś poważnej instytucji, rozumiecie?

— Ano... miarkuję. Jeno poco on tam stoi?

— Aby myślał, strzegł dobra jemu powierzonego, czuwał nad wszystkiem...

— Musi to ciężka praca! Wielmożny pan pewnie i nie doje i nie dośpi?

— No tak źle to znów nie jest! Od tego są inni.

Widzę, że nie możecie mnie zrozumieć. Zaraz wam wytłumaczę. Instytucja to — przypuśćmy — jakiś wielki majątek...

— Już miarkuję. Wielmożny pan — to dziedzic.

— No... niezupełnie, lecz prawie.

— Zrozumiałem, wielmożny panie, zrozumiałem. Chłopi orzą, karbowy pogania, ekonom pilnuje, rządca wyznacza robociznę, a wielmożny pan — niby dziedzic — ma czysty profit...

— Głupis! — syknął człowiek myślący i krokiem szybkim oddalił się z polany.



Jak Polki przygotowują



Wojna współczesna zmieniła swoje oblicze...

Dawniej walczyła tylko armja. Naród odczuwał ciężary wojny, ale bezpośredniego i czynnego udziału w toczącej się wojnie nie brał. Dziś armja jest tylko kadrą zawodową obrony, a żołnierzem jest każdy obywatel bez różnicy wieku i nawet płci. Walczy cały naród. Cały naród bierze się za bary z wrogiem, a biada narodowi takiemu który pragnąłby stać się jedynie biernym widzem zmagań i walk żołnierza oczekując na laury zwycięstwa.

Nie zwycięży. Zdepczą mu jego wolność i niepodległość, a jarzmo hańby i niewoli opasze mu szyję.

Stąd płynie powszechna troska o przygotowanie narodu do obrony na wypadek wojny. Każdy naród i każde pań-

W składach intendentury. Rozkładanie, segregowanie i obliczanie różnego ekwipunku i zaopatrzenia wojskowego jest pracą skomplikowaną i wymagającą odpowiednich wiadomości z tego zakresu. O nieporządek łatwo, o ład trudniej, to też słuchaczki kursu uczą się, jak gospodarować w składach intendentury, aby było składnie.



Służba mundurowa. Przyodziać armję i zaopatrzyć ją tak, aby w czasie wojny była i ubrana i obuta jest również sztuką nielada, do której mogą się przyczynić doskonale wprawne ręce kobiety. Takie właśnie zajęcia praktyczne służby mundurowej widzimy na fotografji.



W kancelarji intendentury. Stosy pism i papierów, bez czego, niestety, nie może się obyć żadna biurowość, a do tego w wojsku, gdzie każda rzecz musi być i zapisana i formalnie wprowadzona do inwentarza, dużo zabierają czasu, czemu na wojnie doskonale poradzić może kobieta. Widzimy właśnie na fotografji praktyczne zajęcia biurowe.

się do obrony Ojczyzny?

stwo, myślące o swej przyszłości, nie szczędzi wysiłków i zabiegów, aby wojna nie stała się niespodzianką i nie zaskoczyła nieprzygotowanych.

Do szranków obrony staje obok i kobieta, której wojna współczesna wyznaczyła obok dawnego miejsca sanitarjuszki także inne rodzaje służby wojskowej, gdzie świetnie przydać się może, zwalniając silne ramiona męskie do właściwej walki z wrogiem.

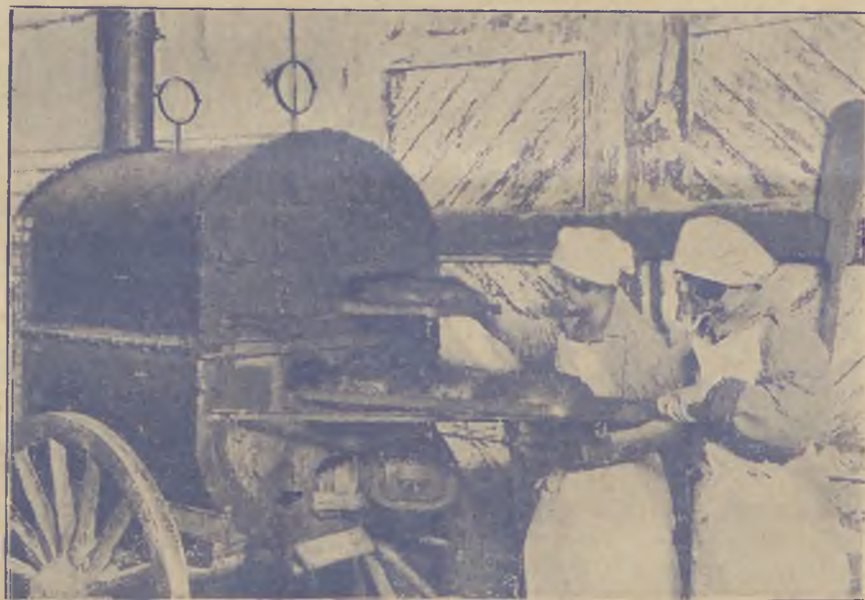
Z tą myślą dnia 10 marca w stolicy rozpoczął się miesięczny kurs gospodarczy (intendentura) dla kobiet, urządzony staraniem Komitetu przysposobienia wojskowego kobiet.

Uprzednio jeden kurs taki zorganizował również dla kobiet Związek Strzelecki.

T. P.



W piekarni. Ileż to bochenków chleba pochłaniają dziennie młode i zdrowe żołądki żołnierskie? Ileż rąk potrzeba, aby bochenków tych było pod dostatkiem i aby były dobrze wypieczone i smakowite? Kobieta doskonale współdziałać tu może.



Przy piekarni polowej. Jeżeli w czasie pokoju wyżywienie armji jest sztuką, nad którą głowi się cała intendentura, to cóż dopiero w czasie wojny, gdy żołądek żołnierski musi być pełny i syty, aby było dobrze. Fotografja przedstawia zajęcia praktyczne przy piekarni polowej.



Obiad słuchaczek kursu intendenckiego. Przy tej okazji słuchaczki uczą się sporządzania obiadu na większą ilość osób, co też jest sztuką, bo łatwo przygotować obiad dla kilku czy kilkunastu, ale inaczej sprawa wygląda, gdyż chodzi o obiadów... kilkaset. Kłopot to nielada, trzeba dobrze opanować sztukę kulinarną, by sprostać zadaniu.



Po śmierci twórcy i marszałka konfederacji Targowickiej, Szczęsnego Potockiego, wdowa po nim, owa słynna z awanturniczego życia greczynka Zofja Czelicze, odkupiona przez Szczęsnego od jej pierwszego męża. gen. Witta, — rozpoczęła wraz ze swym pasierbem, a jednocześnie kochankiem, Jerzym Potockim, życie hulaszcze i pełne ohydy w Tulczynie. Młody Potocki przegrał cały, wiele miljonów wynoszący majątek w karty. Zgraja szulerów z pod ciemnej gwiazdy stale rezydowała w Tulczynie, wielu z nich porobiło miljonowe fortuny na grze, między nimi jednym z najcyniczniejszych i chciwszych był niejaki Hadżkiewicz, którego niecierpiała pani Potocka. Gdy pewnego razu czyniła mu gorzkie wymówki za jego chciwość, iż natrętnie upomina się o należną mu od pasierba sumę wygraną w karty, Hadżkiewicz tak jej odpowiedział:

— Pani pasierb był nierównie chciwszym, bo to, co chciałem u niego wygrać, jeszcze go do ubóstwa nie przyprowadziło, a on już, mając po przodkach przeszło dwa miljony rocznego dochodu, ostatnie moje trzysta czerwonych złotych chciał mi zabrać, bo, kiedy rozpoczął ze mną grę, dobrze wiedział, że nic innego nie posiadałem. Zresztą powinniśmy się, pani hrabino, trzymać, bo nas oboje przywieziono na zgubę jego domu: panią morzem, a mnie lądem...

Była to przymówka do pochodzenia Potockiej, która, jak wiadomo, była kupiona w Konstantynopolu przez niecnego Boskampa, factotum króla Stanisława Augusta, i odsprzedana p. Wittowi, który ożenił się z nią, aby po pewnym czasie sprzedać ją Szczęsnemu Potockiemu.

Gdy innym razem p. Potocka zapytała się tegoż Hadżkiewicza, kiedy nareszcie opuści Tulczyn, tenże jej odpowiedział:

— Mam wiele podobieństwa do wrzodu, pani hrabino: pękam, kiedy nabiorę.

*

Wiadomo, że moskale po ostatecznem zlikwidowaniu wszelkich odrębności autonomicznych w b. Królestwie Polskiem, usilnie starali się pogrzebać nawet samą nazwę „Królestwa Polskiego", zastępując ją barbarzyńską nazwą „kraju priwiślińskiego", a gdzie już nie mogli wprost wprowadzić tej dzikiej nomenklatury, to przynajmniej używali jeszcze głupszej nazwy „10 gubernji Królestwa Polskiego". Otóż na tem tle kursowało swego czasu wiele anegdot, między innemi następująca:

Wybitny w drugiej połowie ub. stulecia mecenas Zygmunt Krysiński, broniąc w pewnej sprawie chłopów przeciwko skarbowi, którym podczas wojny w 1831 r. spalono chaty, powołał się na królowę korony polskiej Jadwigę, która, wynagrodziwszy krzywdę materjalną kmiotkom, żaliła się, że nie może im łez wylanych osuszyć.

Napomniany poufnie podczas przerwy przez prezesa sądu, iż nie należy powoływać się na monarchinię polską, Krysiński zakończył swe przemówienie dokończone po przerwie słowami: iżby sąd miał w pamięci słowa „zmarłej przed wiekami władczyni dziesięciu gubernji Królestwa Polskiego".

PRZYMÓWKI NA MARZEC

Na świętego Benedykta

Benedykt w pole z grochem,
Wojciech z owsem jedzie,
Stanisław ze lnem
Filip tatarkę wywiezie..

*

W początkach ub. stulecia profesorem prawa cywilnego i karnego na uniwersytecie petersburskim był niejaki Siemion Gawriłowicz Bogolubow. Otóż pewnego razu minister oświaty przysłał mu pewną ilość książek w celu zbadania i wydania opinji, czy mogą być one używane w szkołach. Wśród tych książek były również: Chrestomatja grecka Jacobsa i niemiecka Godickego. Bogolubow, przeczytawszy słowo „chrestomatja", myślał, że książki te traktują o Matce Chrystusa i polecił je odesłać do zbadania do św. Synodu. Nie pomogły żadne tłumaczenia, wyjaśnienia, Bogolubow stanowczo zażądał, aby książki te zostały zbadane przez św. Synod, zgodnie z rozkazem Najwyższym, iż wszystkie książki religijne muszą uprzednio uzyskać aprobatę św. Synodu.

*

I cóż wy na to modne kobieciątka z czuprynkami à la garçonne?

Nie tak to illo tempore bywało!

Nawet przepisy kulinarne nasze babki łączyły z umiłowaniem poezji. Posłuchajcie, jak brzmią dwie recepty na sporządzanie smakołyków według ówczesnych wskazówek:

„Ciastka zwane merengami. Bić pianę z pięciu białek, dosypując powoli funt cukru, dopóki piana nie zesztywnieje. Zajmie to tyle czasu, ile trzeba na głośne i niezbyt prędkie zadeklamowanie „Lilji" Mickiewicza. Jeżeli się chce przygotować merengi czekoladowe, to przy słowach „Ach, jak pogodzić braci? chcą mojej ręki oba"... dosypuje się łyżeczkę kakao, potem przy „Starzec westchną głęboko" — drugą; i pół łyżeczki przy „To ja twój mąż, twój mąż". Następnie układa się pięknie marengi na posmarowanym masłem papierze i, wsunąwszy do gorącego pieca, trzyma tam przez czas, który zajmie odmiana czasowników „kochać", „aimer" i „lieben".

„Znakomity sposób przyrządzania smażonego mięsa, tak zwanych z angielska „beefsteak'ów". Przygotowane jak zwykle, i pokrajane na zgrabne plasterki najprzedniejszego gatunku filety smaży się przez czas spiesznego deklamowania jedenastu pieśni arcydzieła Słowackiego „W Szwajcarji". Począwszy od pieśni drugiej, przy końcu każdego fragmentu, przewracać beefsteak. Przy słowach „Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy", dorzucić na patelnię parę cienko pokrajanych plasterków cebuli".

Mocne musiały być w literaturze nasze babki...

EDMONDO DE AMICIS



Tajemnica dobrze strzeżona

Przekład J. K.

Była już ciemna noc, kiedy pani de Sormeuse zajechała wraz z có-reczką do Grand-Hotelu w Pengli. Gdy zatrzasnęły się za niemi drzwiczki windy, wzrok jej padł na chłopca w zielonej liberji ze złotemi guzikami i, pomimo, iż była bardzo zaniepokojona o dziewczynkę, czującą się niedobrze, nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Wielka ogolona głowa, twarz koścista i poważna, oczy wyłupiaste zdawały się być karykaturą Niemca, wykonaną przez nieudolną dziecięcą rękę. Stał przytem tak nieruchomo, z oczami, utkwionemi w lalkę, trzymaną przez dziewczynkę, że można było przypuścić, iż jest raczej automatem, niż żywą istotą.

Gdy winda przystanęła na trzeciem piętrze, chłopiec się ożywił i grubym rozkazującym głosem zawołał:

— Proszę poczekać!

Wyszedł pierwszy i z taką siłą pociągnął obie za ręce, chcąc im dopomóc do wyjścia, że omało się nie przewróciły. Potem poszedł naprzód i doprowadził do przeznaczonego dla nich pokoju.

— Tutaj — rzekł.

Pani de Sormeuse wyciągnęła rękę po klucz, lecz wyprzedził jej ruch, wołając:

— Nie. Ja otworzę sam.

Wszedł, zapalił światło, wskazał dzwonek, poczem, spuściwszy głowę, jak byk, gotowy do skoku, wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

— A to jakiś dziwak — pomyślała.

Rzeczywiście, był to dziwak nielada z tego piętnastoletniego Niemczyka, wyrosłego raczej wszerz, niż wzwyż. Miał postawę, ruchy i głos chłopca, a zachowanie dojrzałego mężczyzny. Gdy chciał, naprzykład, uprzejmie zwrócić uwagę jakiegoś gościa, że mu się krawat wysunął na kołnierzyk, wołał:

— Proszę stać!

Poczem jedną ręką trzymał za szyję, drugą poprawiał nieład, a gdy skończył wszystko, odpychał od siebie, mówiąc:

— Można iść!

Właściciel hotelu, Niemiec także i trzymający całą służbę niemiecką, nie wydalał go pomimo gburowatego obejścia, gdyż najlepiej ze wszystkich posiadał mowę włoską i potrafił się z gośćmi rozmówić. Zresztą, był bardzo pracowity i niezmordowanie gorliwy zarówno w pracy, jak i w ...nieustającem poruszeniu ustami. Zdawało się, że musiał posiadać w podniebieniu kryjówkę, służącą mu do przechowywania żywności.

Również tajemnicą było, w jaki sposób potrafił ze skromnych swych dochodów zaspakajać prawdziwą swoją namiętność do jajek.

Wszystkie te cechy komiczne naogół, jednały mu powszechną sympatję wśród gości, przydomek zaś „Lift" — od angielskiego wyrazu winda — przylgnął do niego na stałe.

Nazajutrz, gdy przechodził przez korytarz, wybiegła do niego strwożona pani de Sormeuse, pytając z oczami, pełnemi łez, czy jest w hotelu lekarz.

— Oczywiście, tak — odparł Lift.

— Biegnij po niego czemprędzej.

Po paru minutach chłopiec powrócił z doktorem, drobnym rudawym człowieczkiem.

Matka, pełna lęku, zaczęła opowiadać lekarzowi, że mała, od dwóch dni niedomagająca, dzisiaj nie mogła wstać z łóżka, skarżąc się na ból w piersiach i pokasłując co chwila. Ma gorączkę. Czy to czasem nie bronchit? Lekarz przystąpił do badania i po chwili orzekł, iż, rzeczywiście, jest zapalenie oskrzeli, ale w słabym stopniu. Poczem, zapowiadając ponowną wizytę w ciągu dnia, wyszedł, nie przepisując narazie lekarstw.

Lift zamierzał wyjść, lecz pani de Sormeuse w instynktownej obawie



przed pozostaniem samej z chorem dzieckiem w tem obcem i obojętnem środowisku, zatrzymała chłopca. Jakaż to straszna rzecz choroba w hotelu, wśród tych płatnych ludzi, zimnych i nieczułych, traktujących podróżnych jedynie, jako źródło dochodów.

Nagle biedna matka stanęła olśniona.

— Maleństwo moje najdroższe, najukochańsze, uśmiechnęłaś się, uśmiechnęłaś, naprawdę, pierwszy raz w życiu. O czem pomyślałaś? Co cię rozweseliło? Zdrowsza więc już jesteś, kruszyno?

Dziewczynka wyciągnęła rękę z pod kołdry i, pokazując Lifta, cicho prosiła:

— Jeszcze raz. Jeszcze raz...

Więc Lift znowu wybałuszył oczy i, marszcząc czoło, ściągnął do samych brwi swoją czuprynę, zupełnie jakby była ruchomą peruką. Potem podciągnął ją z powrotem na właściwe miejsce, znów opuścił, znów podciągnął, a wszystko z błyskawiczną szybkością i niewzruszoną powagą. Dziecko śmiało się na głos, matka uśmiechała się także, i od tej chwili chłopiec stał się przybocznym trefnisiem dziewczynki.

— Jak się nazywasz? — spytała matka.

— Lift — odparł.

— Przecież „Lift" znaczy winda?

— Tak jest, i dlatego mnie tak nazywają.

Lift około północy przyszedł się zapytać pani de Sormeuse, czy może być w czem przydatny. Poprosił, by poszła za nim, zaprowadził ją na koniec korytarza i, pokazując małą komórkę, rzekł:

— Ja tu sypiam. Jeżeli będę potrzebny w nocy, proszę przyjść i zrobić tak... Przy tych słowach uderzył trzy razy z całej siły pięścią w drzwi, licząc na głos: raz dwa, trzy.

Nazajutrz dziewczynka uskarżała się na bóle coraz dotkliwsze. Nieszczęsna matka zażądała sprowadzenia telegraficznie najznakomitszego specjalisty z Neapolu.

— Boże — wołała — pluje krwią, to pewnie z płuc!

Lift był przy tem.

— Nie — odrzekł ze spokojem. — Ta krew nie idzie stąd (tu uderzył się kułakiem w piersi) .lecz stąd (tu zagłębił palec w gardło).

— Nie znasz się na tem mój biedaku!

— Widziałem innych chorych i wtedy krew szła stąd (znów uderzenie kułakiem w piersi), ale krew była czerwieńsza i ciemniejsza.

— Mówisz tak, — odrzekła matka — żeby ukoić mój ból, ale się nie znasz.

— Nie, nie dlatego mówię.

Pani de Sormeuse nie przestawała płakać.

Nareszcie po południu zjawiła się sława z Neapolu. Słynny lekarz starannie opukał i zbadał maleńką w obecności lekarza hotelowego i Lifta, stojącego w kącie z jakimś kęskiem, ukrytym pod podniebieniem. Wszyscy wstrzymywali dech w trwożnem oczekiwaniu. Nareszcie zapadło orzeczenie: płuca nie zajęte, krew wypluwana pochodzi krtani, zapalenie oskrzeli bez żadnych komplikacyj.

Matka, nie posiadająca się ze szczęścia, pokrywała córeczkę pocałunkami i zwróciła się do chłopca:

— Miałeś rację, mój dzielny Lifcie.

Lift odpowiedział jej na to w sposób nieoczekiwany: mrugnął jednem okiem, wykrzywiając przytem usta. Gdy przyszedł, jak zwykle, życzyć dobrej nocy, pani de Sormeuse, chcąc go wynagrodzić, wsunęła mu do ręki srebrną monetę. Chłopiec otworzył zdziwione oczy, obejrzał pieniądz ze wszystkich stron, jakby chcąc się przekonać, czy nie fałszywy, i znów mrugnął okiem, wykrzywiając usta. Był to sposób, w jaki wyrażał swoje zadowolenie.

Pani de Sormeuse nie spodobało się to rachowanie. Dopatrzyła się interesowności ze strony chłopca, a byłaby pragnęła widzieć w nim dobroć i serdeczność zamiast chciwości. Lecz nie należy się zbyt wiele spodziewać od ludzi i od — ...Liftów. Stan dziewczynki po kilku dniach zaczął się poprawiać. Ale była jeszcze bardzo słaba.

Lift spędzał przy niej każdą wolną chwilę. Dziewczynka ciągle się dopominała o jego towarzystwo, oprócz bowiem zabawy w perukę potrafił pokazywać jeszcze mnóstwo innych sztuk: mlaśnięciem języka udawał do niepoznania trzaśnięcie z bicza, prawą łopatkę umiał tak wysunąć, że wyglądała, jak melon, który nagle wyrósł na plecach. Po sto razy dziennie powtarzała:

— Wykrzyw się. Zrób garbusa. Zrób trzaśnięcie z bicza.

Lift zdawał się stworzony na pielęgniarza: jak nikt, poprawiał poduszki, obciągał kołdrę, pomagał przy kompresach. Stanęła umowa, że dzwoniono na niego cztery razy: w pół minuty po czwartym dzwonku już stał w progu z okruchami chleba kawałkami skórki pomarańczowej na wargach, a najczęściej usmarowany żółtkiem. Nigdy nie okazywał znużenia, podobnie jak zwierzęta, które nie mają poczucia czasu.

Pani de Sormeuse obserwowała go z zaciekawieniem. Tyle gotowości i usłużności, a nigdy cienia czułości ani serdeczności. Wprost jakby niechętnie przyjmował oznaki życzliwości.

Często, gdy pani de Sormeuse serdecznym ruchem położyła mu rękę na ramieniu, oglądał później to miejsce jakby w obawie, czy nie zaplamiła mu ubrania, był bowiem dbały o wygląd swojej liberji.

Czasami robił na niej wrażenie zwierzątka. Wyraźnie rządził nim tylko interes. Zrozumiał, że była bogatą, i spodziewał się hojnej zapłaty, pozatem nic go, widocznie, nie obchodziło.

Pani de Sormeuse wiedziała, że bywają ludzie, u których miłość pieniądza jest tak wielka, że popycha ich z tem samem zaparciem się siebie i gotowością do spełnienia tego, na co inni zdobyćby się mogli tylko przez poświęcenie i ofiarność. Jednak u tak młodego chłopca wydawało się to dziwne. Jasnem było, że należał do odmiennego gatunku ludzkiego. Jedynie żywiej mu



Dalszy ciąg na str. 15-ej.

WIKTOR PRZECŁAWSKI.

Powstańcy r. 1863 na zesłaniu

(Z nieogłoszonych materjałów)

V

Konstanty Połtowicz

Coraz żywszy oddźwięk znajduje rozpoczęte przez naszą redakcję gromadzenie nieznanych materjałów, dotyczących uczestników bohaterskich walk o wolność w r. 1863

Oto, jak słusznie pisze, nadsyłając nam podobiznę swego brata, dr. K. Połtowicz z Tartakowa w Małopolsce:

Dużo naszych pamiątek z powstania styczniowego ginie bezpowrotnie. Miałem zbiór fotografij powstańców, pokazywałem w r. 1910



KONSTANTY POŁTOWICZ

Konstanty, syn Cezarego i Emilji z Remiszewskich, Połtowicz, urodzony we wsi Oknicy na Podolu rosyjskiem, ukończył 2-ie gimnazjum w Kijowie i w 17-ym roku życia w 1863 r. padł w bitwie pod Borodianką (ziemia kijowska), ugodzony kulą moskiewską w serce, składając swe młode życie na ołtarzu Ojczyzny.

miniaturowe kopje p. Jarosławowi Pieniążkowi we Lwowie (znanemu zbieraczowi tych pamiątek), który uznał ów zbiór za bardzo cenny.

Niestety, w r. 1919 bolszewicy splondrowali mój dom na Podolu rosyjskiem (powiat Olhopolski), pokradli między innemi rzeczami i fotografje i, jak mi mówiono, wrzucili je do błota.

Z tajgi Syberyjskiej



DWA ZESŁANIA SIĘ SPOTKAŁY

Zesłaniec 63 r. Tomasz Kruszewski w otoczeniu zesłańców z r. 1911 w gub. Jenisiejskiej: 1) A. Szadkowskiego z Łodzi, 2) J. Twardowskiego z Łodzi, 3) L. Marciniaka z Warszawy, 4) H. Malinowskiego z Łodzi, 5) B. Szymańskiego z Warszawy, 6) W. Paszkowskiego z Ładzi.

Czytelnik nasz, pan W. Paszkowski z Łodzi, nadsyłając nam ciekawe zdjęcia, tak pisze:

W latach 1911 — 1914, w okresie mego pobytu we wsi Pokatieje powiatu Kańskiego guberni Jenisiejskiej na Syberji, znajdowali się tam jeszcze czterej zesłańcy z r. 1863, a mianowicie: Tomasz Kruszewski z Podlasia, Juljan Jędrzejewski z Piotrkowskiego, Gutkowski i Stanisław Terlecki.

Pierwsi dwaj posiadali i prowadzili własne gospodarstwa rolne. Trzeci był pocztyljonem, wożąc co tydzień pocztę z Abanu, odległego o 100 wiorst, a czwarty żył z posług u miejscowych t. zw. „czałdonów". Rodzinę posiadał tylko Jędrzejewski we wsi Sokołowo, naturalnie obcą zupełnie polskości. Terlecki, 85-letni starzec, był przez nasze grono zesłańców z r. 1911, za inicjatywą H. Malinowskiego wysłany do Łodzi w r. 1912, gdzie zmarł.

Pozostali przy życiu zesłańcy z r. 1863 zachowali dziwną, doprawdy, świeżość uczuć i pamięć Szczególnie Tomasz Kruszewski, który w okresie pobytu tam zesłańców z r. 1911, był dla Polaków prawdziwem oparciem, okazując szczerą i bratnią pomoc, życzliwość i przyjaźń.

Był bezdzietny. W roku 1905 wybrał się do Polski, lecz po półrocznym pobycie wrócił na Syberję, nie mogąc się przystosować do nowych warunków życia.

Gdy w roku 1913 zapytałem go w rozmowie: —Dziadku, czy teraz nie czas byłoby wrócić do Polski?

Odpowiedział:

— Nie, jeszcze nie czas! Czas nadejdzie...

Ostatnie lata pobytu na Syberji jak sam się często wyrażał, stały mu się znośniejsze z powodu naszego przybycia. Współżycie z gromadą rodaków ożywiło go. Miał lat przeszło 80. Zmarł w okresie wojny na miejscu zesłania.



Katolickie organizacje zwołały wiec pod przewodnictwem M. hr. Sobańskiego, prez. Ilskiego, min. Morawskiego, K. Rostworowskiego, min. Michalskiego, celem zajęcia stanowiska przeciw prześladowaniu katolików w Meksyku.



Bolszewickie amazonki chińskie zagrzewają wojska kantońskie do walki.



Znakomity kierowca Parry Thomas znalazł śmierć podczas wyścigu, gdy w tempie 180 mil. na godz. usiłował pobić ostatni swój rekord. Przed startem piękne panie wręczają sportsmenowi maskotę w postaci czarnego kota.



Radjo na dorożkach samochodowych. Czy aby be[illegible]nie dla

Od № 7 „Famulusa“ dla prenumeratorów dołączany będzie bezpłatny dodatek powieściowy p. t. „Tajemnica pokoju № 17“



Znakomity autor niemiecki Tomann Mann w otoczeniu wybitnych literatów polskich.

Fot. K. Pęcherski.



W dniu 13 b. m. uroczyście obchodzono 40-letni jubileusz Marji Rodziewiczówny w obchodzie wzięli udział przedstawiciele rządu, senatu, sejmu i sztuki.



Dzielne polki przyspasabiają się również do obchodzenia z maskami ga-



W dniu 13 b. m. odbywał się w Warszawie doroczny zjazd Dowborczyków. Na ilustracji widzimy prezydjum z gen. Dowbór-Muśnickim na czele na tle sztandarów.



Następca tronu perskiego otrzymuje wychowanie w szkole wojskowej.



W Meksyku walka wre coraz zapalczywiej. Hekatomba ofiar w[illegible] katolickiej budzi



Na wschodzie wre zacięta walka. Na obronę Szanghaju ściągają coraz nowe siły. Na ilustracji wi- [illegible]

Dziesięciolecie rewolucji rosyjskiej



Aleksander Kiereński, który „przegadał“ owoce rewolucji rosyjskiej, otwierająca wrota bolszewizmowi. Obecnie znajduje się w Anglji, gdzie podczas jednego z „dalszych“ przemówień został spoliczkowany publicznie przez patrjotkę rosyjską.

Dziesięć lat mija od chwili, gdy zakotłowało się w saganie rosyjskim, runął carat, zbałamuciła i zdemoralizowała ogół kiereńszczyzna, i w rezultacie zapanował wszechwładnie bolszewizm, próbujący cały świat uszczęśliwić rajem swoich rządów, pod którem jęczy ujarzmiony naród rosyjski, wijąc się w mękach okrutnej niewoli i pohańbienia.

A wszystko zapowiadało się tak pięknie i podniośle. Carat, zapisawszy tyle ponurych kart w historji Rosji, obrzydł w rezultacie własnemu nawet narodowi. Przegrana wojna dobiła kolosa na glinianych nogach. Prawie bez przelewu krwi odbyło się zrzucenie nienawistnych pęt caratu i objęcie rządów przez naród.



Wielki książę Cyryl, jeden z pierwszych z rodziny carskiej, który przyłączył się do rewolucji. Obecnie jest kandydatem na cara Rosji, popierany przez część emigracji rosyjskiej. Oprócz niego są jednak i inni pretendenci.

Ster rządów objął Kiereński. Historyczny rozkaz Nr. 1-szy rozwalił armję, i od tego rozpoczęło się wielkie nieszczęście Rosji.

Pomocnik adwokata przysięgłego nie dorósł do miary tego męża stanu, jakiego wymagały współczesne wypadki w Rosji. Wypadkowa rola, jaka mu przypadła w udziale, zamąciła mu w głowie. Zachorował na Napoleona. Z rękoma, złożonemi po napoleońsku na piersiach, wygłaszał wciąż mowy, nie widząc, jak państwo rozłazi się po kawałku od wewnątrz i od zewnątrz.

Zmiotła go bezpowrotnie pierwsza fala bolszewizmu. Przyszedł Lenin. Ten dopiero opanował sytuację, wywracając wszystko do góry nogami. Eksperyment jego przetrwał już dziesięć lat. Jak długo trwać będzie, wyrokować trudno.

Może potrwać długo, gdyż historja zna wypadki anarchji na przestrzeniach niewielkich, ale zanarchizowanie takich bezmiarów, jakie zajmuje współczesna Rosja, to wypadek pierwszy.



Pierwsze ofiary rewolucji ze czcią pogrzebano na polu Marsowem w Petersburgu. Hekatomba ich wzrosła później w miarę rozwoju wypadków, a zwłaszcza za krwawych rządów bolszewickich.



Pijane wolnością tłumy w pierwszych dniach rewolucji nie przestawały manifestować. Jedną z takich manifestacyj przed pomnikiem cara Aleksandra III w Petersburgu widzimy na fotografji.



Pochód przed pałac Zimowy w Petersburgu zgromadził liczne tłumy, które zaczęły od rabowania piwnic carskich, gdzie niektórzy tak się spili, iż potonęli w winie, powylewanem z beczek.

Plebiscyt „Famulusa“

Jakich kobiet nie lubią mężczyźni?
Jakich mężczyzn nie lubią kobiety?

Lekceważymy kobiety i kto temu winien?..

I

Pytania ogłoszonego plebiscytu są aktualne zawsze, a zwłaszcza dziś, gdyż obecne czasy domagają się przewartościowania starych wartości i zajęcia nowego stanowiska wobec starych obyczajów i urządzeń.

Stosunek mężczyzny do kobiety uległ także ewolucji.

Lecz w jakim kierunku? Czy pożądanym?

W jednym z dzienników czytaliśmy niedawno artykulik pod tytułem: „Panowie, wyjmijcie ręce z kieszeni!“ Był to protest jednej z dam (co za zgrzybiały wyraz? — przypisek autora) przeciwko lekceważeniu kobiet przez młodych mężczyzn. Z rękami w kieszeni prosił młodzieniec damę do tańca i dostał za to należytą odprawę. Autorka wspomniała przy okazji o aroganckiej nonszalancji wogóle młodych panów, którzy, rozmawiając z kobietą, puszczają jej prosto w twarz dym z papierosa, siadają, chociaż ich towarzyszka stoi.

Postępowanie owego młokosa naganne, byłoby również takie wobec każdego starszego mężczyzny. Należy to uznać za pewnik, o którym niema dwóch zdań. Można jednak i należy pomówić o przyczynach takich zjawisk.

Na przyczyny rzuciła trochę światła replika męska w temże piśmie pod tytułem: „Panie, przestańcie robić toaletę publicznie“. W replice tej czytamy między innemi takie zdanie: „Również zwyczaj zakładania wysoko nogi na nogę, przyczem panie i panienki pokazują podwiązki i kolanka... nie uspasabia (!) mężczyzn do poszanowania form“. Czyli innemi słowy: „Wyjmiemy ręce z kieszeni, jeżeli panie zakryją swoje łydki, piersi i ramiona“.

W obu feljetonikach uderza niewłaściwe ujęcie rzeczy i niedopowiedzenie wszystkiego, zwłaszcza w ataku kobiecym. Kobieta akcentuje „styl zachowania się“, mówi o aroganckiej nonszalancji, jako przeciwieństwie „niewymuszonej swobody“, mężczyzna wyjaśnia, co go skłania do „nieposzanowania form“. Ani tu ani tam nie padło ważkie, właściwe słowo, skończyło się na „stylu“ i na „formie“, czyli na grzeczności. Ruszono pokrywkę, nie zaglądając do wnętrza.

Grzeczność jest formą i to tak rozmaitą, jak odpowiadająca jej treść o rozmaitej wartości. A treścią tą jest szacunek. Już Mickiewicz powiedział: „...trzeba ważyć, jak przystało, drugich wiek, cnoty, obyczaje“.

Należało tedy sięgnąć głębiej i postawić kwestję raczej tak: „Dlaczego nas, panowie, nie szanujecie?“

Odpowiedź męska zbliżyła się do właściwego ujęcia przez podanie motywów postępowania. Motywy te dotykają bardzo niemiłego zjawiska. Oto młodzież męska wchodzi w życie z lekceważeniem kobiet.

Należy przypuścić, że ów młodzieniec z balu, który rąk z kieszeni nie wyjął, pochodził z tak zwanego dobrego domu. Otrzymał zapewne tak zwane staranne wychowanie, miał matkę, może siostrę, obcował z kobietami, a przecież nie wyrobił w sobie szacunku dla kobiet. Wniosek jedyny: widocznie kobiety, które go wychowywały, które znał lub widywał, z któremi obcował, nie posiadały tych wartości, które wprost narzucają mężczyznom respekt i szacunek dla kobiety. Widocznie należały do tych, które się publicznie muskają, malują, pudrują, zakładają nogę na nogę, pokazują pończoszki i kolanka, obniżają dekolty. Możemy rozszerzyć listę: naśladują mężczyzn, noszą chłopięce fryzury, męskie kapelusze, surduty i laski, palą publicznie papierosy, grożą już spodniami, wałęsają się po ulicach i dancingach, tańczą z byle kim, opieki nie uznają, trwonią grosz na szmatki i rozrywki, mają mało w głowie a dużo pretensyj.

Wł. J-ski

Toruń.

(Dalszy ciąg ze stronicy 10-tej).

zabłysły oczy, kiedy pani de Sormeuse po powrocie do domu wykrzyknęła uradowana:

— Piękny dzień dzisiaj przeżyłam. Dinini już jest zupełnie zdrowa, a zawdzięcza to i tobie Lifcie, to też nie omieszkam cię sowicie wynagrodzić.

Gdy tylko lekarz orzekł, że mała mogła bez obawy odbyć podróż, matka postanowiła wyjechać nie zwlekając. Lift. gdy mu o tem oznajmiła, nie okazywał żadnego wzruszenia. Obojętność ta mocniej jeszcze utwierdziła panią de Sormeuse w jej mniemaniu. Doznawała jednak uczucia przykrego zawodu, widząc podobną chciwość. Wzięła go na stronę i wyraziła całą swoją wdzięczność. On słuchał tak, jakby zwracała się do kogo innego. Wreszcie podała mu kopertę, mówiąc:

— Poślesz te pieniądze matce.

Lift skinął głową.

— A ta — dodała, wyciągając drugą kopertę.

— Chwileczkę — przerwał chłopiec i starannie schował pierwszą kopertę.

— A ta? — zapytał.

— To dla ciebie.

— Dobrze, dobrze — i schował kopertę do innej kieszeni.

— A to — rzekła pani de Sormeuse, wyciągając pudełeczko — jest srebrny zegarek od Didini, żebyś nakręcając go co rano, zawsze sobie o niej przypomniał.

Lift wziął zegarek przysunął go do ucha, aby się przekonać czy chodzi, i schował go do trzeciej kieszeni, kiwając przytem głową, jakby chciał powiedzieć:

— Tylko tego brakowało.

— Dziękuję — dodał, a ton jego oznaczał: — W porządku. Rachunki załatwione. Już mi się nic nie należy.

— A teraz posłuchaj — ciągnęła dalej pani de Sormeuse, podając mu swoją kartę wizytową. — Oto mój adres. Gdyby ci kiedy było czego potrzeba, nawet za wiele lat pamiętaj o mnie. Ja o tobie nigdy nie zapomnę. I, co tylko będę mogła, zrobię dla ciebie.

Lift wziął bilet, odczytał adres, starannie go schował i kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć:

(Dokończenie na stronicy 19-tej)

OFIARA WYPADKU



— Porządnie sobie rozkwasił tę głowę. Obawiam się, że trzeba będzie mu ją amputować.

POTRÓJNA BUCHALTERJA



— Pańska podwójna buchalterja, to wcale nie to. Potrzebna mi jest potrójna: jedna dla Skarbu, druga dla wierzycieli, a ta trzecia dla mnie.

NOWY FACH

Biały tydzień. W wielkich magazynach tłumy osób, zatrzymujących się to tu, to tam, przy ladach...

W oddziale konfekcji wrzało. Jakaś otyła klientka, sina ze złości, wyrzucała z siebie potoki słów. Przed nią zarządzający oddziałem, cały w lansadach, napróżno starał się ją uspokoić.

Nerwowa dama nie wytrzymała wreszcie i, zebrawszy paczki i paczuszki, popędziła ku windzie.

Szklana klatka pochłonęła damę, nerwy i paczuszki, wzbiła się w górę i stanęła na ostatniem piętrze.

— Do dyrektora! — rzuciła rozkazująco woźnemu, strzegącemu wrót Sezamu. — Ja tu pokażę, jak obchodzić się klientelą!

Bez słowa skłonił się stary wyga i otworzył drzwi do jednego z gabinetów.

Siedzący za biurkiem poważny, szykowny" wielkorządca podniósł głowę z nad stosu papierów.

— Panie dyrektorze — zaczęła od progu. — Pierwszy raz spotyka mnie coś podobnego, mnie, starą klientkę, młokos-subjekt...

— Niech Pani raczy usiąść — przerwał uprzejmie. Przycisnął jeden z dzwonków i po chwili wszedł jeszcze bodaj poważniejszy pracownik.

— Jako szef personelu — zadecydował krótko „dyrektor" — poniesie pan odpowiedzialność za gburowate obchodzenie się jego podwładnych. Od jutra przestaje pan u nas pracować.

— Ależ, panie dyrektorze...

— Niema tłomaczenia. Na to tu jesteśmy, by zadawalniać klientelę.

Klientka zdumiała z piorunującego tego wyroku i sama próbowała wtrącić parę słów w obronie winowajcy.

— Nie, pani, — wyrzekł uroczyście „dyrektor". — Zanadto liczymy się z klientelą, by płazem puszczać podobne wybryki.

Gdy drzwi zamknęły się za klientką, „szef personelu" rozsiadł się wygodnie i nonszalancko zapalił papierosa.

— Jak to człowiek zależny jest nawet od pogody — zaczął sentencjonalnie. — Deszcz pada, klienci są wściekli, interes dobrze idzie; pogoda — nic niema do roboty. Mam dopiero 18 zażaleń w tym miesiącu. Panu dobrze, ma pan stałą pensję za to „bujane dyrektorstwo", a ja mam tylko prowizję za każde wydalenie. Osiemnaście razy! Można z głodu zdechnąć!...



PRZEBACZENIE

— Ależ, moja kochana, myślałem że mi już przebaczyłaś i zapomniałaś o tem.

— Właśnie tylko przypominam tobie, żebyś nie zapomniał, że przebaczyłam i zapomniałam.

SZCZYT BEZCZELNOŚCI:

Podglądać szklanem okiem przez dziurkę od klucza.

W RESTAURACJI

— Płaciłeś?

— Nie. A ty?

— Także nie.

— No to chodź. Na co czekamy?

Z WYPRACOWANIA

„...Jeż, to jest nieogolone zwierzę, albo kaktus, który sam łazi".

WIEK BEZ WIEKU

— Cóż to za miłe dziecko, z którem tańczyłem przed chwilą. A jak tańczy...

— Która to?

— Niech pani popatrzy, w końcu. Żółta suknia z frendzlami.

— To moja matka!

MAŁA RÓŻNICA

— Nazwał mnie perłą i podarował kwiaty.

— To bardzo miło z jego strony.

— Wolałabym, żeby było odwrotnie.

Jak został zredukowany Dyndalski, Dyndałą zwany?



Fascykuły, akty pakty
i początek katarakty —
oto gorzki żywot cały
Dyndalskiego vel Dyndały,
zato maszynistka Klara
„manikurą“ się wciąż para..



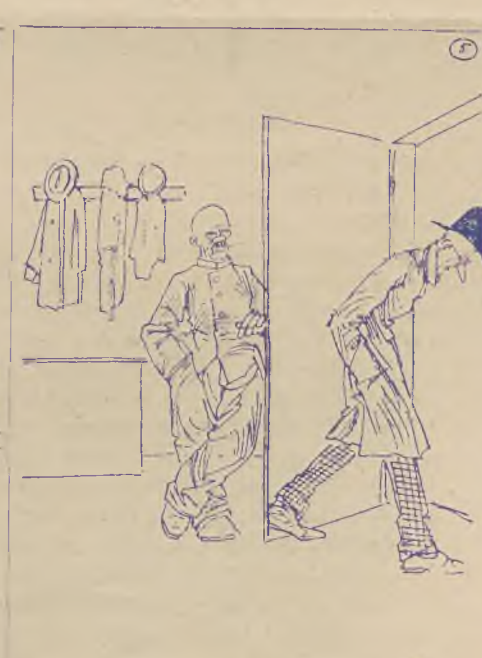
— Szefie, wszak w jedności siła!
rzecze dostojnik Baryła:
— Klarcię, gdy redukcje będą,
polecam łaskawym względom,
za to z góry ślę podziękę —
noga nogę, ręka rękę...



Szef się zgniewał:—Tam do czarta!
I cóż pańska praca warta?
Co innego panna Klara,
ta pracuje, ta się stara
i przykładem wszystkim świeci...
Czekam pana w gabinecie!



Drżąc, jak liść, wyszedł Dyndała,
Klarcia z szefem pozostała...
Ten, zmrużywszy chytrze oko,
sentencje jej rzekł głęboką:
— Przy redukcjach większe szanse
na podwyżki i awanse...



Został pan, panie kochany
Dyndalski, zredukowany...
Mniej ludzi, więcej sprawności,
fox-trott zmian dla oszczędności —
oto wynik długich narad,
by państwowy krzepł aparat.



I jak mara siadł Dyndała,
ziemia pod nim tańcowała,
rozpacz, szczerząc czarne zęby,
nędzę słała w dziewosłęby...
Co się stało przez te rugi
opowie nam numer drugi.*)

*) Kto chce się dowiedzieć, co uczynił zredukowany Dyndała, niech kupi Nr. 7 „Famulusa“ — Przypisek Redakcji.



TEATR NARODOWY

„Mściciel" sztuka w 3-ch aktach Stanisława Przybyszewskiego.

Niezapomnianą uroczystość obchodził w tych dniach Teatr Narodowy: wystawił sztukę Przybyszewskiego „Mściciel".

Na uroczystości tej spotkały się dwa światy, jeden głęboki, wielki, który niestety, już się kończy, drugi hulaszczy, płochy i próżny — ten współczesny. I gdy wzruszony wielki pisarz wyrzekł te proste słowa: — nie mnie składacie ten hold, ale sumieniom i sercom własnym..., — serce niejednego z obecnych mocniej zabiło: kto z pośród nas zdoła dla współczesnych być tem, czem Przybyszewski był dla swojego pokolenia.

Głównemi podstawami twórczości jego były zawsze sumienie i serce. I dlatego tragedja duszy ludzkiej przedstawiała zawsze dla Przybyszewskiego więcej walorów, niż efekt dramatu historycznego.

Stąd też płynie tragedja „Mściciela". Dramat o zemście, o pojęciu bezwzględności i o mściwości napisany został pięknym językiem ze znajomością duszy ludzkiej i jej wszystkich walorów.



Józef Węgrzyn

Teatr Narodowy uczynił wszystko, aby tę tragedję serc wystawić jak najstaranniej i aby wydobyć z niej każdą myśl, każde zjawisko uczuciowe.

Jednak tekst sztuki nie jest wdzięczny pod względem scenicznym, i dlatego praca aktorów nie została uwieńczona pomyślnym skutkiem. Czyżby współczesnemu aktorowi trudno było wczuć się w psychikę bohaterów Przybyszewskiego całem sercem, czyżby miał do rozporządzenia jedynie tylko formę? A może obsada była niefortunna? Dość, że aktorzy recytowali swoje kwestje, czasami tylko ożywiali się nieco namiętniejszą grą.

Pod tym względem na pierwszy plan wysunął się Węgrzyn. Brydziński był całkowicie i konsekwentnie zrezygnowany.

Gromnicka obsadzona została niefortunnie w nieleżącej na linji jej talentu i w dodatku bardzo trudnej roli. Pokazała jednak swoje wysokie walory sceniczne.

Bardzo obiecująco przedstawił się młody aktor, Alfred Szymański. Na Lindorfównę włożono zbyt wielki ciężar.

Syntentyczne dekoracje Drabika — doskonałe.

M. S.

JUBILEUSZ OZIMIŃSKIEGO

Józef Oziminski, poza wirtuozowską grą, poświęcił lwią część swoich wysiłków pracy, w której odznaczył się, jako wytrwały i mądry propagator muzyki.



fot. K. Pęcherski.

Po latach znakomitego rozwoju orkiestry Filharmonji Warszawskiej, do której należał jubilat, nadszedł okres ciężkiego kryzysu, który wojna i jej skutki jeszcze bardziej pogłębiły.

Niewielu wytrwało na posterunku.

Pomiędzy obrońcami zachwianej placówki szczytnie się zapisał Józef Oziminski. Batutą na pięknych porankach kształcił szerokie masy, krzewiąc zamiłowanie do muzyki i rozumne jej wyczucie.

Praca w orkiestrze, występy kameralne, popisy solowe, pedagogiczna działalność zapełniły każdą chwilę tych dwudziestupięciu lat karjery, pozostawiając, na szczęście, artystę w pełni sił i talentu.

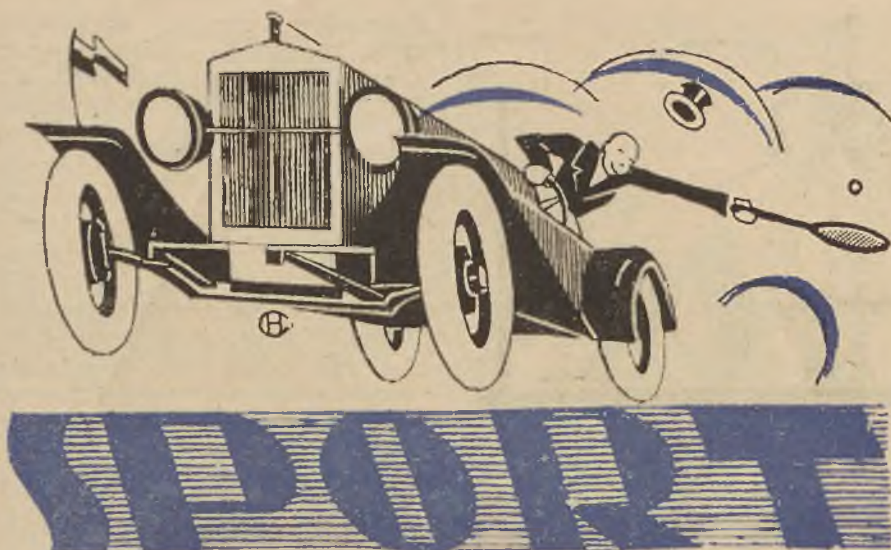
Jeszcze sto lat Ci życzymy, kochany mistrzu, dla sztuki i dla wdzięcznego społeczeństwa.

E. R.

TOMASZ MANN W WARSZAWIE



Znakomity pisarz niemiecki przybył do stolicy na zaproszenie Pen-Clubu polskiego. Odwiedziny te świadczą, iż pomimo nieprzyjaznych nastrojów, sztuka jest ponad niemi.



PRZED OLIMPJADĄ W AMSTERDAMIE

Większość państw, biorących udział w igrzyskach r. 1928 nadesłała już przybliżone wykazy uczestników: Niemcy wysyłają 400 osób, Anglja — 260, Belgja — 230, Holandja — 150, Węgry — 100, Estonja — 50, Łotwa — 40, Finlandja — 150, Brazylja — 150, Włochy — 200, Czechosłowacja — 130.

ROZŁAM W PIŁKARSTWIE

„Historyczne posiedzenie", „wypadki przerosły ludzi, którzy byli ich bohaterami", „postulaty P. Z. P. N. przeciw postulatom Ligi", oto komentarze, które codziennie spotykamy

Wcale nie chodzi o meritum sprawy, wierzymy bowiem, że przy dobrych chęciach zawsze znalazłby się sposób zatarcia różnicy poglądów. Nie chodzi również o ostateczny rezultat, wierzymy bowiem, że znajdą się miarodajne wpływy, które potrafią uśmierzyć rebelję, tak szkodliwą dla budzącego się u nas zamiłowania do sportów.

Najsmutniejsze, to widoczny brak karności we wszelkich przejawach życia, w których szczególniej na tej dyscyplinie zależy.

Rozdmuchanie do niebywałych rozmiarów pijanej frazeologji o błahą w gruncie rzeczy sprawę, a obok tego wśród nazwisk fronderów, którzy wzięli odpowiedzialność za wypadki, nazwiska znanych żołnierzy — smutne...



Wiosna idzie... Dzielne sportsmenki angielskie dosiadają motocyklu, ładują łódki składane, wiosłai mkną nad Tamizę.

(Dalszy ciąg ze stronicy 19-tej)

— Niech się pani nie obawia. Jak się tylko sposobność nadarzy, potrafię skorzystać z obietnicy.

Wyciągnął zegarek, spojrzał na godzinę i rzekł:

— Już tylko kwadrans czasu, powóz czeka.

— Nie masz nam nic więcej do powiedzenia? — zapytała pani de Sormeuse głosem pełnym żalu.

— Panienko, proszę, ja zaniosę lalkę.

Didini podała lalkę i wyszła z matką, a Lift za niemi.

Gdy wsiadły do powozu i pożegnały się z właścicielem hotelu i z lekarzem, Lift podszedł do drzwiczek i podał dziewczynce lalkę.

— Szczęśliwej podróży pani i panience.

— Mamo, popatrz — zawołała ze śmiechem dziewczynka, pokazując lalkę — policzki ma wyplamione żółtkiem.

Był to błysk światła dla pani de Sormeuse. Lift całował lalkę. Nie zrozumiała więc jego duszy, skrzywdziła go posądzeniem o brak serca. Powiedziała więc:

— Prawda, Lifcie, że chciałbyś uściskać Didini?

— O tak, chciałbym bardzo.

— Więc pocałuj ją — i popchnęła dziecko ku niemu.

A on wziął jej główkę w obie ręce i całował zapamiętale, dał wreszcie ujście czułości, zalewającej mu serce, wołając po niemiecku:

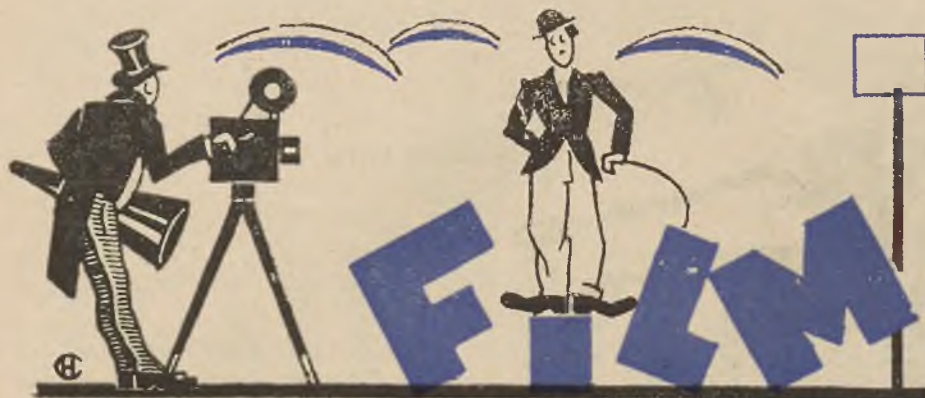
— Ach, mein Kind, mein Kind. Maleńka Didini odjeżdża...

— Kochany mój Lift — wykrzyknęła pani de Sormeuse, gdy powóz ruszył.

— Dowidzenia, Lifcie — wołała dziewczynka, machając rączką.

I obydwie zobaczyły, odwracając się ku niemu po raz ostatni, jak, stojąc pośrodku ulicy i miętosząc czapkę w ręku, z oczami, pełnemi łez, jeszcze raz na pożegnanie zawzięcie i zaciekle opuszczał i podnosił czuprynę.

KONIEC



DRAMAT CHARLIE CHAPLINA.

Charlie Chaplin, genjalny artysta, o którego grze rozpisywać można całe tomy, aktor filmowy, którego ogólno-światowy plebiscyt miłośników kina wysuwa na pierwsze miejsce, humorysta, u którego przez śmiech serdeczny przebijają łzy, przeżywa ciężki dramat życiowy.

Historja tego dramatu znakomicie charakteryzuje amerykańską umysłowość i stosunki, gdzie obok akcji o najbardziej idealnym zakroju jest również miejsce i dla bezwzględnej hypokryzji.

Charlie Chaplin, dzięki genjalnej swojej grze dorobiwszy się znacznego majątku, pozwolił sobie na naświetlanie obrazu na własną rękę. Charlie Chaplin, mąż Lity Grey i ojciec dwóch chłopasów, pozwolił sobie na dyskretny i niewinny całkiem flirt z artystką Marion Davies.

Ostatnim tym faktem szczególniej sprowokował niebaczny Charlie króla wydawnictw prasowych, Hearst'a, protektora Marion Davies, który, rękę podawszy purytańskiemu klubowi niewieściemu, „Woman's Club", uderzył na Chaplina, zaprzysięgając, że nie tylko go zrujnuje, lecz nie dopuści nawet, by postać króla humoru pojawiła się na ekranach amerykańskich.



Rozbita para małżonków: Charlie Chaplin i Lita Grey.



Bolesny spór o dzieci. Charlie i Sidney, synkowie słynnego artysty.

Nie przebierając w żadnych środkach, któreby mogły zniszczyć przeciwnika, Hearst wywlókł na forum publiczne prywatne życie Chaplina, mieszając je z błotem, uzbrajając przeciw niemu Litę Grey i odbierając mu ukochanych chłopaków.

Materjalnie i moralnie zrujnowany Chaplin nie daje podobno za wygrane i ukończy wkrótce rozpoczęty „Cyrk", w którym jeszcze raz, jak zwykle, święcić będzie niebywały sukces.

Prawdziwą przyczyną tej kampanj jest przedewszystkiem interes wszechwładnie panujący na tamtym kontynencie, gdzie stwarzają Ligę Narodów, by w niej nie uczestniczyć, inicjują rozbrojenie, by jednocześnie powiększać „super" — zbrojenia, głoszą prohibicję, uprawiając iście amerykański w swych rozmiarach szmugiel i tajny wyszynk. „Business" przedewszystkiem!

Z PRODUKCJI POLSKIEJ

Rynek nasz ożywia się. W tych dniach ujrzymy film polski, realizacji b. reżysera „Reduty", p. Kaz. Czyńskiego p. t. „Ryngraf", którego akcja rozgrywa się na temat współczesny.

Dowiadujemy się jednocześnie o zamierzonej realizacji utworów Tetmajera („Legenda Tatr" i „Na Skalnem Podhalu"), Piotra Choynowskiego („Młodość, miłość, awantura") i Włodz. Perzyńskiego („Raz w życiu").

Znamiennym szczegółem do zanotowania, jest zainteresaowanie w pewnej mierze obcych sił artystycznych i technicznych, wobec trudności realizacji niektórych z tych obrazów.

Współpraca ta może więcej przyniesie korzyści, niż oderwane zagraniczne wycieczki naszych reżyserów i artystów, którzy za mało mają sposobności do praktycznego zaznajomienia się z niewątpliwie większem doświadczeniem sił obcych.

Z PRODUKCJI ZAGRANICZNEJ

Ogromnie liczą się obecnie z filmami produkcji rosyjskiej, które mają stać na bardzo wysokim poziomie artystycznym, pozbawione zaś tendencji politycznej stanowić będą cenny materjał filmowy. „Harem w Bucharze", „Iwan Groźny", „Matka" (według Gorkija) — oto ostatnie filmy produkcji „Goskino", o których fachowa krytyka zagraniczna odzywa się z niekłamanym zachwytem.

„Film p. t. „Rue de la Paix", według znanego francuskiego autora Abel Hermant obudził ogólne zainteresowanie. Nigdy jeszcze Paryż w rozmaitych przejawach życia stolicy świata nie otrzymał podobnej inscenizacji, tem żywszej, iż interpretację głównych ról powierzono znakomitym artystom: André Lafayette, Suzy Pierson, Adam Bernard.



SWETRY

Miły i praktyczny „sweatr" zajął powoli miejsce dawnych bluzek i staników. Był z początku trykotowem odzieniem o czysto sportowem przeznaczeniu, przeobrazil się w późniejszych latach na jedwabny trykot, by stać się dziś wszystkiem tem, co zastępuje prostą bluzkę.

Ostatnia moda przynosi nam sweater'y z crêpe de chine'u, crêpe Georgette, wełenek lub powszechnie stosowanych kombinacyj mieszanych wełny z jedwabiem o licznych nazwach.

Stosownie do ogólnego dyktanda mody spostrzegamy coraz częściej drobne plisowanie, luźny pasek lub wzorzyste zakończenie, kontrastowo harmonizujące ze spódniczką.

Sweter daje się zastosować do kostjumu, co jeszcze łatwiej przychodzi wobec „krzyku mody" — fantastycznych żakietów z aksamitu.







Kosmetyka

ZACHOWANIE MŁODOŚCI

Zupełnie słuszna, powszechna maksyma, że kobieta ma lat tyle, na ile wygląda. Minęły już bowiem czasy naszych prababek, gdy kobieta, zauważywszy pierwszą zmarszczkę na twarzy lub siwy włos na głowie z rezygnacją poddawała się swemu losowi.

Teraz jest inaczej. Czasy radykalnie się zmieniły. Kobieta nie poddaje się starości, lecz uporczywie i wprost z zaciętością z nią walczy. Na każdą dolegliwość znajduje radę, a wynalazki z dziedziny kosmetycznej zataczają coraz szersze kręgi.

Kobieta współczesna walczy o swoją młodość i o swe prawa do życia. Cóż to, że fama głosi, że ma „przeszło czterdziestkę", o ile na swoje lata nie wygląda. I jeżeli potrafi w swej twarzy i postaci zachować młody wygląd, ma pełne prawo do miana młodej kobiety, a więc i do życia. Przed niedawnym czasem, pewien dziennik amerykański wyznaczył nagrodę za trafną odpowiedź na następującą zagadkę, która była umieszczona pod fotografją 2 młodych kobiet, a mianowicie: która z nich jest matką a która córką. Doprawdy nie lada sztuką było dopatrzeć się w tych 2 młodych twarzyczkach, która z nich obarczona jest 20 latami więcej od drugiej. Ten wypadek nie jest dykteryjką, lecz rzeczywistym faktem; zresztą coraz częściej się natrafia na podobne zjawiska.

Najważniejszym jednak atutem do zachowania młodości jest smukła zgrabna figura i właśnie ten temat chcę dziś poruszyć. Każda z pań wie doskonale, że żyjemy w dobie, w której sylwetka, góruje nad wszelkiemi innemi zewnętrznemi walorami kobiecemi. Wiotka i smukła figura, to alfa i omega w życiu współczesnej kobiety: zachowując ją, zachowujemy jednocześnie młodość i jej prawa. A w jaki sposób ją zachować lub jak pozbyć się niepotrzebnego tłuszczu, który jest głównym niszczycielem kobiecej urody i młodości, opowiem mym miłym czytelniczkom obszernie w przyszłych numerach.

Mar.

Wśród książek



Anita Loos

MĘŻCZYŹNI WOLĄ BLONDYNKI





Księga pamiątkowa Siedlczan (1844 1905). Nakł. Koła Siedlczan. 1927.

Polska się stała, a z nią i szkoła polska, której pierwsze podwaliny postawiła młodzież przez wysiłek strajku szkolnego z przed 20 lat. Szereg nowych pokoleń, które dziś weszły w życie, nie pamięta ucisku zaborcy, dążącego do zdławienia w zarodku samym myśli i uczucia narodowego, tępiąc język i zniekształcając pojęcia.

Każde wspomnienie tej martyologji powinno nam być drogie, tem bardziej, jeśli dotyczą one tej połaci kraju, w której znęcanie się zaborcy przybrało szczególniej ostre formy.

Zapiski te wyszły z pod pióra szeregu wybitnych ludzi, których ziemia ta wydała, świadcząc o żywiołowej tężyźnie ducha narodowego we wszystkich warstwach społeczeństwa. Podlasie bowiem z całą swą ludnością szczytnie zapisało się w dziejach martyologji Polski. Któż nie chowa w pamięci niezapomnianego Reymonta, największego piewcy tych zmagań? W bólu i cierpieniach, ciągle mając na oczach niedolę i niewolnicze uciemiężenie ludu, rosły te pokolenia ku chwale Ojczyzny, by przekazać rezultat swych zmagań wdzięcznej potomności.

Zapiski takie, oby najczęściej się ukazywały, stanowią cenny przyczynek do naszej historji.

Rebus



SZARADA

Pierwsze trzecie, to zbiór ludzi,
drugie trzecie kasa bywa.
całość smaczna i pożywna.

KUPON
KONKURSOWY NR. 6.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ ROZRYWKOWYCH
FIGIELEK RYSUNKOWY



ZADANIE MATEMATYCZNE

```
  9 8 7 6 5 4 3 2 1
  1 2 3 4 5 6 7 8 9
  -----------------
  8 6 4 1 9 7 5 3 2
```

Nagrody za trafne rozwiązanie otrzymali przez losowanie:

1) Strzelec w Dęblinie — Prenumerata na kwartał i 1 książka.

2) Mikowska w Warszawie — Prenumerata na 1 miesiąc i 1 książka.

3) M. Skalska w Łodzi — 1 książka.

4) E. Przybytkowski w Poznaniu — 1 książka.

5) E. Walter w Krakowie — 1 książka.

Z redakcyjnego biurka

„Rakiecie". Koželuch jest zawodowcem czeskim. Istotnie ma on duże szanse.

Amatorowi. Radzimy udać się do znanego zbieracza, p. Soubise-Bizier, którego poczytują za wybitnego specjalistę w tej dziedzinie. Fotografja nie wystarcza.

J. A. Przedstawicielstwo zostało zlikwidowane z powodu braku zainteresowania.

E. Przybylskiemu. Główny Urząd Likwidacyjny podlega Ministerstwu Skarbu. Sprawy te winny być rejestrowane w odpowiedniej formie.

Witoszewskiemu. Unicar posiada własne wytwórnie. Zasługi tej firmy są istotnie bardzo znaczne.

E. Lipskiej. Importowanie zostało zabronione, co zresztą uważamy za najzupełniej słuszne.

D. D. Książeczki wkładowe podlegają ścisłej kontroli.

Rogulskiemu. Kalkulacja poważnej firmy nie może przewidywać podobnej pozycji.

E. S. Niestety, tylko do kosza. Dziwiłoby Pana samego, gdyby było inaczej.

Al. E. Rękopisów nie zwracamy.

Anetce. Dziękujemy za poczciwe słowa uznania. Dlaczego nie mogłaby Pani nam pomóc? Sprawa wymaga osobistego porozumienia się.



Henrykowi. T. Stanowczo, nie czytając nawet, odrzucamy wszelką propozycję tego rodzaju.

Maarji Orwiczowej. Lista została ogłoszona w odpowiednim czasie. Zwykle tak bywa, że nie wszyscy wygrać mogą. Ten, który jest przegrany, nie dokłada w każdym razie więcej ponad własne siły i czas.

F. O. w Kutnie. Wojciech Kossak zamieszkuje obecnie w Krakowie. „Z mojej karjery" obejmie również wspomnienia artystów plastyków, zakończymy jednak uprzednio listę literatów.

Wójcickiemu. Uwaga najzupełniej słuszna. Nie mieliśmy dotychczas możności skonstatowania podobnego objawu.

Rogóyskiemu w Paryżu. Jakże niezmiernie ucieszyła nam podana przez Pana wiadomość! Nawiązany kontakt posłuży nam do ugruntowania na tamtejszym terenie „Famulusa".

CENA PRENUMERATY: Z przesyłką pocztową:	CENY OGŁOSZEŃ:	ADRES „FAMULUSA"
Miesięcznie . . . . . Zł. 1.—	Cała strona . . . . Zł. 400.—	**Warszawa, Miodowa 5, tel. 28 33 i 2-96**
Kwartalnie . . . . . „ 3.—	Pół strony . . . . „ 200.—	Administracja czynna od godz 9-ej do 4-ej popoł. Redakcja czynna od 10 do 4 popoł. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-iej popoł. Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca.
Półrocznie . . . . . „ 6.—	Ćwierć strony . . . „ 125.—	**Konto P. K. O. Nr. 14315.**
Rocznie . . . . . . „ 12.—	Ósma część strony . . „ 70.—	
	Przy ogłoszeniach abonamentowych — 10% rabatu.	

Redaktor i wydawca *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zbrojna", Warszawa, Nowolipie 2.